

23.



Lwów 4. Lipca 1886.

Tygodnik beletrystyczny.

Wychodzi

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7-40 — półrocznie złr. 3-70 — kwartalnie złr. 1-85. Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji: Lwów, ulica Jagiellońska l. 16. (Kantor „Drukarni Polskiej“).

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 ct. od wiersza petitowego.

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

ŁAMIGŁÓWKA.

a — a — ca — ca — ga — na — pa — sa — za — ską
staw — e — be — nek — piec — wie — ki — nt — ak
cho — dło — mo — nos — roch — rzy — yol.

1. Imię znane z czasów Kazimierza Wielkiego.
2. Odgłos.
3. Ten majątku nie roztrwoni.
4. Osoba duchowna.
5. Alfabet.
6. Wyraz prawniczy.
7. Grupa wysp na Oceanie Wielkim.
8. Płyn chemiczny.
9. Miasto chińskie.

Litery początkowe i końcowe z góry na dół czytane, składają imię i nazwisko pewnego powieściopisarza polskiego.

Kwadrat magiczny.

a	a	a	a	a	a
a	a	a	a	a	a
a	d	i	i	i	i
j	l	l	m	m	n
n	n	n	n	n	n
n	o	o	r	s	s

- Imię żeńskie.
- Naród azjatycki.
- Imię żeńskie.
- Dwie rzeki (w Afryce i Galicji.)
- Bogini.
- Owoc tropiczny.

Każde słowo da się czytać wzdłuż i na dół.

Zadanie kryształowe.

		a		
	a	m	n	
n	n	n	o	o
	r	r	s	
		s		

- Spółgłoska.
- Część ciała.
- Imię męskie.
- Rzeka w Galicji.
- Spółgłoska.

Każde słowo da się czytać wzdłuż i na dół.

Zadanie matematyczne.

Jedna parowa machina wyciąga co 2 minuty 7 hektolitrow wody z głębokości 87 metrów, druga co 5 m. 12 hekl. z głębokości 145 metr. trzecia co 3 m. 7 1/4 hekl. z głębokości 108 metr. W jakim czasie wszystkie trzy maszyny wyciągną 2436 hekl. wody z głębokości 270 metr.

Rozwiązanie łamigłówki z nru. 22.

Montefiore — Imaj! — Lotry — Oleander — Śrótownik — Czołgelu (uległość) — Indje — Kuklinowski Arnstein — Sarnię — Ziemiałkowski — Eratostenes — Linnu — Wandalizm — Duero.

Miłość i kaszel w domu się nie ukryje.

Dobre rozwiązanie nadesłali Wni: S. Mynarski z Angielówki, B. Trzebicki z Krakowa, Marja Soroczyńska z Kut, B. Baraniewicz ze Lwowa.

Wynik losowania: Najpierwsze wylosowane zostało rozwiązanie: B. Trzebickiego z Krakowa, pod jego też adresem premia wysłana została.

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczają się dla prenumeratorów „Kwiatów powieściowych“, „Lwów - Stryjowi“ jednodniówka Koła literackiego. Premję tę otrzyma pierwsze wylosowane rozwiązanie.

DEUTSCHER KUNST-ALBUM

Verlag des Kunst-Albums, Leipzig

Verlag des Kunst-Albums, Leipzig



Einzelhefte
 Jahrgang
 Band
 Nummer

Das Kunst-Album
 enthält
 1. die besten
 2. die neuesten
 3. die interessantesten
 4. die kostbarsten
 5. die seltensten
 6. die wertvollsten
 7. die schönste
 8. die edelsten
 9. die herrlichsten
 10. die prächtigsten
 11. die imposantesten
 12. die imposantesten
 13. die imposantesten
 14. die imposantesten
 15. die imposantesten
 16. die imposantesten
 17. die imposantesten
 18. die imposantesten
 19. die imposantesten
 20. die imposantesten

Das Kunst-Album
 enthält
 1. die besten
 2. die neuesten
 3. die interessantesten
 4. die kostbarsten
 5. die seltensten
 6. die wertvollsten
 7. die schönste
 8. die edelsten
 9. die herrlichsten
 10. die prächtigsten
 11. die imposantesten
 12. die imposantesten
 13. die imposantesten
 14. die imposantesten
 15. die imposantesten
 16. die imposantesten
 17. die imposantesten
 18. die imposantesten
 19. die imposantesten
 20. die imposantesten

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
21	22	23	24	25	26	27	28	29	30
31	32	33	34	35	36	37	38	39	40
41	42	43	44	45	46	47	48	49	50
51	52	53	54	55	56	57	58	59	60
61	62	63	64	65	66	67	68	69	70
71	72	73	74	75	76	77	78	79	80
81	82	83	84	85	86	87	88	89	90
91	92	93	94	95	96	97	98	99	100



Lwów 4. Lipca 1886.

Tygodnik beletrystyczny. Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie zhr. 7.40 — półrocznie zhr. 3.70 — kwartalnie zhr. 1.85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 zhr. — półrocznie 4 zhr. — kwartalnie 2 zhr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

X.

(C. d.) Po niedoszłym ślubie, w Bzowie wcale nie było wesoło. Marja, profesor, służba, chodzili jak poważeni. Nic dziwnego. Zaraz po odjeździe Bożyckiego pan Onufry zachorował i od dwóch dni leżał w gorączce.

Dumny szlachcic niemógł znieść hańby, jaka według jego wyobrażeń, spadała na czyste imię rodowe; do niedawna mógł z całą dumą pochwalić się, że on jeden w całej okolicy, mimo ciężkich czasów ma majątek czysty jak lza; że na jego hipotecę nie ciąży ani jeden pożyczony złoty... Teraz każdy mógł go wskazać palcem jako kłamcę zwodzącego i siebie i drugih przez cały szereg lat... Bo jemu się zdawało, że o zajściu familijnem musi już wiedzieć świat daleki za pośrednictwem Bożyckiego, reagenta, Bodmera...

Ale to jeszcze mało... Do jednej przybywała druga hańba: że kosztem szczęścia własnego dziecka chciał w tajemnicy utrzymać swoją ruinę, że dla zadowolenia dumy chciał poświęcić jedynaczkę swoją... Zdawało mu się, że każdy spotkany, mógłby na niego patrzeć z pogardą...

I na tem nie koniec. Widział przed sobą inną jeszcze infamją... Sądził że każdy obwini go o oszukańcze przeniesienie hipoteki majątku na córkę, aby nie zaspokoić pretensji Bodmera... Rozdrażniony, przygnębiony, zaskoczony wypadkami nagle, nie mógł ani logicznie myśleć, ani spokojnie kombinować. Widział strachy w biały dzień; widział tylko moral-

ną i materjalną ruinę, a że stan jego umysłu, po przebytej niedawno chorobie, normalnym nie był, zapadł powtórnie i leżał w łóżku mającąc najokropniej.

Można sobie wyobrazić położenie Marji. Nie było pozazdrosczenia. Młoda panienska znalazła się bez opieki i przewodnika, a przed nią leżało tyle zadań. Stryj doradcą jej być niemógł, bo choć był znakomitym historykiem i rozgłosną siłą profesorską, w sprawach praktycznego życia był kompletnym zerem... Senatorowa zajęta niedołągą synem i gospodarstwem własnem, niemogła należycie dopomódz Marji w zarządzie majątku, zwłaszcza że do spraw rolniczych przybyły inne doniosłej wagi; trzeba było opierać się zaboreczym planom Bodmera; trzeba było myśleć o zaspokojeniu długu skryptowego; trzeba było zmienić organizacją gospodarstwa — słowem, biedne dziewczę niewidziało gdzie jej głowa stoi, a tutaj przybywała jeszcze, do wszystkich bied, choroba ojca, którego pielęgnować wypadało...

A jednak z wszystkich mieszkańców Bzowa ona miała najwięcej hartu duszy, najbystrzejszy pogład, najruchliwszą naturę... Profesor zatrudniony przeważnie przy łóżku chorego brata, patrzył na nią z podziwieniem i w głowę zachodził, co obudziło w niej tę siłę niespożyta, co jej dało ten spokój jakim imponowała otoczeniu, z kąd w niej brało się tyle znajomości rzeczy, sprytu, pracowitości, zaparcia... Była wszędzie, sama wglądała we wszystko. Obchodziły ją zarówno folwarczne zaprzęgi jak kuch-



nia: siewy jesienne i smażenie konfitur; od łóżka ojca biegła do spichlerza, ztamtąd do stodoły, by za chwilę w pokoju załatwić rachunki i korespondencją...

Prowadząc gospodarstwo podczas pierwszej choroby ojca, miała sposobność przekonać się, jaki w niem panował nieład, jak ludzie byli rozpuszczeni i jak mało na ich uczciwości polegać było można. To też wzięła się teraz do radykalnych zmian a pierwszą ofiarą padł Byczykowski, o którym przekonała się że kradł za dziesięciu, a próżnował za dwudziestu. Oddaliła go natychmiast i obejrzała się za innym ekonomem.

Z trosk jej, największą była spłata Bodmera. Zkąd wziąć tak znaczny kapitał? A zaspokoić trzeba było Bodmera czempredzej, aby na imieniu Bzowskich nie ciążyło podejrzenie, że wierzyciela podejść chcieli. Bodmer mógł się lada chwila dowiedzieć o przeniesieniu hipoteki... może już wiedział... Ile razy o tem pomyślała twarz jej oblewał rumieniec wstydu... O bytności Bodmera na plebanji i o tem że stryj obznajomił go z wypadkami, nie wiedziała. Gdy profesor z plebanji wrócił, zastał brata już w gorączce mającego i wśród tych tarapat zapomniał powtórzyć Marji słowa, jakie przy pożegnaniu wymówił Bodmer.

Dochodziła czwarta popołudniu. Marja w buduarze swoim pieczętowała listy, gdy wszedł profesor.

— Maryjko — przemówił — trzebaby znowu posłać po lekarza, bo zdaje mi się że z ojcem gorzej...

— Nad wieczorem zawsze się gorączka powiększa stryjku... — zapewniła Marja z pozornym spokojem, bo sama wcale spokojną nie była. — Czy nie sądzisz, że dobrzeby było wysłać depeszę do Krakowa, po którego z lekarzy? Ja do Eisengraua niemam najmniejszego zaufania.

— Pewnie żeby było dobrze, bo i ja niedowierzam temu żydkowi. Ciągłe zapewnia że to lekka słabość a ja widzę że to ciężka choroba, najprędziej mózgowia...

— Zatem napiszę depeszę i poszlę konnym do Ząbkowiec...

— Hm! na dworcu kolei gotowi depeszę zatrzymać bo mają swoje pilniejsze... Czy nie lepiej posłać do Leśnej? I bliżej i pewniej...

— W Leśnej jest tylko prywatne biuro telegraficzne do użytku fabryki. Tak słyszałam...

— Co to szkodzi. Przecie mnie Bodmer nie zje, jak napiszę bilet z prośbą aby depeszę podał na na swoim drucie. Chodzi o życie ludzkie, a wątpię aby był ludożercą. Pisz Maryjko!...

Marja nie wahała się dłużej; w kilka minut depesza była gotowa. Podczas gdy Marja pisała, profesor także nakreślił kilka słów na bilecie, poczem Marja wyszła aby osobiście dojrzeć wyjazdu konnego posłańca.

Tymczasem profesor przeglądał adresy zakoptowanych listów, które Marja na biurku swoim zostawiła. Czytając kręcił głową. Gdy bratanek wszedł z powrotem, zajrzawszy po drodze do pokoju ojca, przy którym siedziała Brygida, profesor zapytał obojętnie niby:

— Czy można wiedzieć co piszesz do banku handlowego?

— Wypowiadam mój kapitalik zebrany oszczędnościami.

— Owe 3000 rubli?

— Tak jest, stryjku.

— A cóż za interesa masz z jubilerem?

— Ofiaruję mu na sprzedaż moje klejnoty, które sam oszacował przed dwoma laty na 10.000 rubli.

— Chcesz ich się więc pozbyć!?

— Tak jest...

— I nie sprawia ci to przykrości?

— Najmniejszej mój stryju. Pozbędę się ostatniego świecidelka, byle ojcu wrócić spokój i byle choć częściowo zapłacić dług panu Bodmerowi. Gdy zobaczy że mam chęć splacenia, że bez kroków przymusowych z jego strony, daję na razie ile mam, uspokoi się co do reszty i nie będzie nas podejrzawał o chęć wyzyskania jego dobrej wiary...

— Tak ci dużo zależy na jego sądzie?

— Zależy mi w ogóle na opinji uczciwych ludzi — powiedziała Marja stanowczo.

— Masz go więc za uczciwego?

— Za bardzo prawego człowieka — rzekła gorąco.

— Hm! hm!... I zkądże panna przychodzisz do takich wniosków nieznając go bliżej?... — indagował profesor.

— Ludzie prości mówią o nim z wielkimi pochwałami. Teraz, stykając się z nimi przy gospodarstwie, mam sposobność słyszeć: że to bardzo dobry pan... To mówi za nim...

— Kiedyśmy już zaczęli o tym ludożercy, wdzierającym się w posiadłości bzowskie swojemi sztolniami i szybami, to muszę ci powiedzieć, że i on ma o tobie wielkie mniemanie...

Marja mimowolnie splonęła.

— Zkądże stryjek może o tem wiedzieć? — spytała pomieszana.

— Z jego własnych ust. Nawiasem mówiąc chłopak ma bardzo ładny krój ust... Otóż niedalej jak przedwczoraj żegnając się ze mną powiedział: chciej pan zapewnić swoją bratanekę, że ten, którego jej odmalowano jako najzaciętszego, nieubłaganego wroga, jest dla jej bohaterskiej duszy przejęty uwielbieniem i w układach o skrypta gotów jest poczynić najdalej idące ulgi...

Marja z podziwieniem słuchała opowiadania stryja.

— Gdzież stryjek widział się z panem Bodmerem?

— U proboszcza, gdy mu pojechał oznajmić że ślubu nie będzie. Zastałem tam Bodmera, który u księdza czekał umyślnie, aby twojemu ślubowi przeszkodzić.

— Mojemu ślubowi przeszkodzić? — powtórzyła Marja zdumiona. Potarła ręką czoło jakby zebrać, chciała rozpieczerzłe myśli. — Szczególny człowiek — powiedziała w zamyśleniu.

— I ja to samo mówię. Wszakże ani cię zna, ani go obchodzisz, ani nasz swat ni brat... Co do mnie bardzo mi się podobał... Ma tylko jedną wadę...

— Jaką?

— Niepije wina, a to u Polaka przymiot bardzo głupi...

Marja rozśmiała się, co ucieszyło profesora.

— Koniec końcem — przemówił wesoło — nieznając się, nie widząc nigdy, czujecie dla siebie obopólną sympatję. Cóżby to nastąpiło gdyby cię zobaczył!... Bój się Boga dziewczyno, nienaradzaj chłopaka na tę ewentualność, bo gotowe nieszczęście. Straci głowę z kretelem!...

— Spotkanie jest nieuchronne, mój stryjku. Wszakże muszę osobiście załatwić interes o skrypta. Tylko tym sposobem rzecz zostanie tajemnicą.

— A czy ja przeczę? Tylko się trzymaj dziewczyno ostro abyś i ty głowy nie straciła, bo oczy tego człowieka są głębokie a głos dziwnie zniewalającej siły...

Nie potrzebowała tych wiadomości. Przekonała się na sobie jaką posiadał siłę, niemniej jednak zapewniła:

— Bądź stryjku bez obawy...

— Alboż ja się czego obawiam? — zawołał z uśmiechem. — Byłaby to tylko woda na mój młyn... Ale my tu gadu gadu, a ktoś zajechał przed dwór...

— Prawda! — rzekła Marja podbiegłszy do okna. — Kto to może być? Ekwipaż nieznanymi mi...

Lokaj wniósł na tacy bilet wizytowy. Wziął go profesor.

— Dr. Julian Kielski — rzekł po odczytaniu nazwiska i spojrzał na Marję.

— Nieznam. Ale... prosić do salonu — rozkazała Marja służącemu.

Gdy za chwilę weszła ze stryjem do salonu, zastała tam młodego człowieka, średniego wzrostu, o nieszpętnej ale ospowatej twarzy, którego małe czarne oczka błyszczały z po za okularów bystro i przenikliwie. Ubrany był niemodnie ale wygodnie i czysto. Zobaczywszy wchodzących skłonił się dość zgrabnie i, zaprezentował.

— Jestem lekarzem zakładowym w Leśnej. Otrzymałszy bilet z depeszą pan Bodmer osądził, że choroba musi być groźną i prosił mnie bym aż do przybycia zawiadanego z Krakowa doktora, za-

jął się chorym, jeśli rodzina nie odrzuci naszych dobrych chęci...

— Całem sercem witamy pana — rzekła Marja podając rękę doktorowi. — Nikt nie może nam być w tej chwili pożądanym... Mój stryj... — przedstawiła obok stojącego profesora, który z Kielskim wymienił uścisk dłoni.

— Gdzież chory? — zapytał następnie doktor Marji.

— Zaraz pójdziemy do niego... Proszę za mną...

— O, za pozwoleniem pani — wstrzymał ją doktor. — Obecność kobiet przy konsultacji lekarskiej, jest zupełnie zbyteczną... Proszę mi nie brać za złe tej otwartości...

— Zatem stryj poprowadzi pana doktora...

Lekarz skłonił się i wyszedł z profesorem. Marja chodziła po salonie rozmyślając... Ten doktor wydał jej się dobranym towarzyszem Bodmera; jak tamten wypowiadał bez ogródki swoje przekonania... Jej myśli ciągle wracały do Bodmera. — On gorzkiem słowem prawdy stworzył w niej siłę oporu; on chciał potem przeszkodzić jej ślubowi; on oświadczył gotowość zrobienia ulgi w spłaceniu długu; teraz znów przysłał jej lekarza na pierwszą wieść że ojciec chory... Zawsze i wszędzie Bodmer... Z tegoby wynikało, że to człowiek nader szlachetnego charakteru... jakże więc tę szlachetność pogodzić z faktem, że tenże człowiek zaparł się własnego ojca... Tak powiedział Bożycki... Dobrze pamiętała jego słowa wymówione z wściekłością: Nie cieszcie się tak bardzo! Ja wasze skrypta sprzedałem w potrzebie, ale sprzedałem je takiemu, który was wyssie jak pijawka, oddałem was w ręce potwora, który własnego wyparł się ojca!... Czyżby Bożycki kłamał? Nie... nie... Człowiek w takim żalu, w takiej sytuacji nie kłamie.. Słowa, które w takiej chwili stanowczej z ust wybiegają, wydaje głębia duszy... To musi być prawda!... A więc jak rozumieć postępowanie Bodmera? jak pogodzić sprzeczności?

Nie dano jej długo rozmyślać, bo do salonu wszedł z powrotem profesor.

— No cóż? — zapytała skwapliwie.

— Doktor skonstatował nadzwyczaj silne zapalenie mózgu... a tem groźniejsze, że pacjent niedawno przebył inną gorączkową słabość i organizm jego jest wycieńczony.

Marja zakryła twarz rękami, z ócz jej wybiegły łzy.

— I tego wszystkiego ja jestem przyczyną! Boże! Boże!...

— Ależ nie imaginuj, nie przybieraj sobie do głowy — uspokajał profesor. — Doktor twierdzi że ojciec wyzdrowieje, bo to w gruncie rzeczy natura silna i zdrowa... Właśnie coś tam pisze, trzeba będzie posłać do apteki... Bardzo mi się podoba ten doktor.

Widać że tęgi w swej sztuce. Mało mówi a dużo się pyta. To najważniejsze.. Ten Bodmer umie sobie dobrać ludzi.

W tej chwili wszedł lekarz z kartką w ręce i skłonił się Marji. — Bądź pani spokojną. Stan chorego nie jest beznadziejny — owszem lepszy jak myślałem... Racz pani tę kartkę posłać do apteki w Leśnej a równocześnie odprawić moje konie do domu. Pozostanę przy chorym aż do przybycia doktora z Krakowa aby obserwować przebieg słabości i zdać mu relację. Będzie to z korzyścią dla pacjenta.

— Zobowiązujesz nas pan nad wyraz — przemówiła Marja odbierając kartkę.

— Dajno Maryjko — powiedział stryj — ja tę sprawę załatwię, a ty tymczasem zabaw doktora...— Profesor wyszedł.

— Może powołanie lekarza z Krakowa uważasz pan za zbyt cenne? — przemówiła Marja, wskazując doktorowi krzesło.

— Bynajmniej pani — odpowiedział siadając.— Jestem świeżo upieczony doktor i omylić się mogę, dlatego powołanie doświadczonego jest pożądanem. Ludzie powiadają wprawdzie że mam szczęście, ale ja wiem że mi brakuje praktyki.

— Dawno pan doktor bawi w Leśnej?

— Dopiero od roku spełniam obowiązki lekarza zakładowego, bo przed rokiem dopiero zdałem doktorat... Pojmie pani, że wiele doświadczenia mieć nie mogę...

— Jednak w szpitalu zakładowym musi być dosyć chorych, a pole praktyki, przy tak licznej kolonji robotników, jest zawsze obszerne.

— Tak jest wistocie, ale procent chorób wewnętrznych jest stosunkowo nader mały i po największej części mam do czynienia z chorobami zewnętrznymi, jako to: skaleczeniami, zgnieceniami, złamaniami, tak że operacje chirurgiczne są na porządku dziennym...

— Z tego mogłabym wnosić, że fabryki pana Bodmera są albo źle urządzone albo z nieostrożnością prowadzone.

— Nie zachodzi ani jedna ani druga ewentualność. Fabryki nasze są i wzorowo urządzone, i z możliwie największą skrupulatnością prowadzone, tylko robotnicy krajowi, których wyłącznie postanowił używać właściciel, aby się wyzwolić z zależności od zagranicznych i dać swoim utrzymanie, są mniej ostrożni jak cudzoziemcy... Niemniej jednak liczba wypadków zmniejsza się z każdym rokiem, jak to wykazują rejestra szpitalne i dojdziemy niedługo do możliwego minimum...

— Więc w fabrykach pana Bodmera nie ma cudzoziemców?

— Ani jednego, ani na lekarstwo... Od dyrektora huty zacząwszy a skończywszy na ostatnim wyrobniku dziennym, wszyscy jesteśmy krajowcami.

— Gdy ojciec wyzdrowieje zwidzieć muszę Leśną, o której cuda mi opowiadają ci, którzy ją widzieli.

— Cudów u nas wprawdzie niema, ale zawsze wyróżniamy się korzystnie od innych. Niema u nas zbyt wiele, wszystko robi się z kredką i główką jak to mówią, ale za to biedy niema u nas także.

— Czegóż więcej trzeba! Gdyby tak wszędzie byłc !..

— Mogłoby być, gdyby więcej takich Bodmerów pracowało w kraju..

— Wysoko cenisz pan swego przełożonego..

— Tak cenimy go wszyscy. Trzeba poznać go bliżej, aby pojąć ile w nim jest energii, pracowitości, pojęcia obowiązku, nauki i dobrotliwości. Na pierwszy rzut oka wydaje on się absolutnym, zimnym, a jednak w obec jakiegokolwiek nieszczęścia, wychodzi na jaw cała dobroć jego serca. Postępowaniem swoim zniewala dla siebie; niema w nim ani odrobiny parwieniuszowskiej dumy dorobkiewicza; nigdy nie zapomina że sam zaczynał od małego, że sam pracował niegdyś jako szteiger górniczy...

— Pan Bodmer ma przy sobie kogo z rodziny?

— Nie, pani, jest sam. Matka umarła mu przed trzema laty. O ile wiem niema krewnych.

Rozmowę przerwało wejście Molskiej, którą wprowadził profesor. Marja podbiegła na jej powitanie.

— Nie słyszałam turkotu powozu — zauważyła.

— Widać że pan doktor zajmującą bawił cię rozmową — powiedział profesor.— Powiadam senatorowej, że od jakiegoś czasu Leśna cieszy się w Bzowie wielką sympatją. Między stronami wojującymi, przyszło widocznie do zawieszenia broni.

— Które powinnyby się zamienić w stały pokój — wtrąciła Molska.

— Że dążyć będę do zawarcia go, możecie państwo być pewni — powiedziała Marja.

— Byle preliminarjom pokoju nie odmówił ratyfikacji twój ojciec — rzekł profesor.— Jak mu po chorobie wróca siły, wróci mu i fantazja, a najwyższym punktem szlacheckiej fantazji będzie, jak bywało zawsze — liberum veto!... Bądź na tę ewentualność przygotowana...

Marja spuściła oczy a twarz jej pobleadła.

XI.

Było to w trzy tygodnie po opisanej chwili. Dochodziło południe.

W pokoju swoim porządkowała Marja papiery na biurku. Stała. Ruchy jej zdradzały pewien niepokój, jakieś rozdrażnienie, które starała się stłumić. Pierś jej falowała mocniej jak zwykle, twarz rumieniła się i bladła na przemiany. Czasem oko jej pobiegło do zwierciadła jakby się przekonać chciało, czy rysy twarzy nie zdradzają niepokoju duszy.. Ubrana była bardzo skromnie, ale z wykwinnym gustem. Nic w jej postaci nie było obliczone na efekt a jednak wywołać go musiało.

Spodziewała się gościa. Przybywał wezwany listownie... Lada chwila mógł się pojawić; ztąd jej niepokój, jej wzruszenie...

Przybyć miał Bodmer. Mieli się spotkać znowu; pierwszy raz od dnia spodziewanego ślubu. Miało sobie popatrzeć oko w oko szlachectwo rodu i szlachectwo pracy... Jak ona uzbrajała się do tej walki! Jak jej serce biło na wspomnienie gwałtownego potoku słów tego człowieka, na wspomnienie tego wyrazu oczów, które wówczas patrzyły na nią z litością, oburzeniem, pogardą, gniewem.

Lokaj oznajmił przybycie gościa, który oczekiwał w salonie. Idąc tam zatrzymała się kilka razy i przykładła rękę do serca, jakby bicie jego stłumić chciała. Jeszcze na progu salonu, przed rozchyloną z lekka portjerą stanęła i przesunęła ręką po czole. Spojrzała w głąb. W salonie przed jej portretem, stał Bodmer. Zobaczyła że się weń wpatrywał z zajęciem, że oczy jego błyszczały zachwytem.

Splonęła i zdrzała. Po chwili uchyliła kotarę i stanęła w salonie. Bodmer zobaczywszy ją skłonił się. Po twarzy jego nerwowe przebiegło drzenie, a głos, gdy przemówił, wibrował.

— Wezwany przybyłem...

— Witam pana. — Mówiąc to postąpiła Marja ku gościowi i podała mu rękę na powitanie.

Przez jedną błyskawiczną chwilę wahał się czy przyjąć podaną dłoń, wreszcie mała ręką pani domu znikła w jego dłoni.

— Nie zasłużyłem na takie powitanie, po brutalnym zachowaniu się w tym samym pokoju — przemówił głosem, w którym radość mieszała się z pokorą.

— A ja właśnie dlatego, mam obowiązek tak pana powitać i chciałabym, aby to podanie ręki było zarazem podziękowaniem za słowa, które we mnie obudziły lepsze instynkta duszy. Jeżeli dziś mogę ludziom śmiało w oczy spojrzeć, tylko panu zawdzięczam.

— Zdaje mi się, że te same słowa, powiedziane mniej wykształconej i szlachetnej kobiecie, byłyby bezskuteczne i wziętoby je za wybryk prostactwa — nic więcej...

— Nie sędzę. W szlachetnym oburzeniu jest tyle siły oddziaływającej, że choćby ono ubrane było w najbardziej prostacką szatę, zawsze go odróżnić można od grubjaństwa bezcelowego. Na umysł kobiety, której rzeczywiste nawet prawdy, podaje się w formie wykwintnego frazesu, rzucenie w oczy tej prawdy z bezwzględnością, oddziała zawsze, wcześniej czy później, na dobre...

— Spotykam w pani kobietę wyższą nad przesady... Teraz pozwól pani spytać, jak się ma ojciec?

— Kryzys przeszła szczęśliwie jak mię zapewnił pan doktor Kielski.

— Można polegać na jego zdaniu. To młody ale zdolny lekarz.

— Którego pomoc także panu mam zawdzięczać...

— A... pani... — prosty obowiązek ludzkości...

— Proszę usiąść — Marja wskazała krzesło i sama usiadła... — Pan domyśla się zapewne dlaczego ośmieliłam się go trudzić?...

— Stawilem się na żądanie pani z całą przyjemnością, ale celu wezwania niedomyślałem się, mimo że bilet mówił o „załatwieniu sprawy ważnej“; nieprzypuszczam zaś, bym mógł czemkolwiek zasłużyć na to, abym jako sąsiad został wezwany do porady.

— Przypuści pan, że dla mnie załatwienie sprawy o skrypta ojca, jest rzeczą bardzo ważną.

— Wszakże ta sprawa już załatwioną została — rzekł grzecznie Bodmer.

— Załatwioną? — zdziwiła się Marja. — Jakim sposobem? Nierozumiem pana...

— Wszakże kto dług płaci, skrypta odbiera i niszczy, ten sprawę zupełnie umarza... Przynajmniej ja tak sędzę — dodał z uśmiechem.

Marja dziwnym wzrokiem spojrzała na Bodmera. Mówił jasno i wyraźnie a przecież nierozumiała go...

— Ależ ja tego dotąd nie zrobiłam...

Kolej zadziwienia przeszła na Bodmera. Teraz on jej nierozumiał...

— Nie zrobiła pani? Wszakże przed tygodniem ksiądz Bieniasz przyjechał do mnie, zażądał w imieniu pani skryptów ojca, zapłacił papierami publicznymi ich wartość, w obec mnie potargał w kawałki i w ogień kominka rzucił... Przypominam sobie że paląc je powiedział: Będzie dziecko miało spokój i rozwiązane ręce.

— Ależ ja o tem pierwszy raz sędzę od pana... Ja księdza Bieniasza nie posyłałam do pana, nie upoważniałam do odbierania skryptów...

— Więc widocznie sam się upoważnił... Nie mniej jednak skrypta już nie istnieją. Staruszek odjechał nadzwyczajnie zadowolony.

— Wykupił skrypta własnymi pieniędzmi i nie mi nie mówił, ani słówkiem nie wspomniął... I zniszczył, mówisz pan?

— Najkompletniej; tylko popiołu trochę zostało...

— Co to za człowiek!... Taką spełnić ofiarę i nawet nie przyznać się!...

— Ofiara straciłaby na wartości... Staruszek jest przywiązany do pani jak ojciec...

— Ofiary jego przyjąć mi nie wolno... Ten grosz zbierał on całe życie skrzętnie jak mrówka! Może sobie odmawiał wielu wygod, przyjemności... Jeszcze dziś z nim pomówić muszę, winniśmy mu 40000 rubli... Dług nie przestaje być długiem, choć wierzyciel się zmienia.

— Ale ze mną sprawa załatwiona? — zapytał Bodmer z uśmiechem.

— Co do skryptów — istotnie.

— Są więc inne sprawy?...

— I może ważniejsze jak skrypta.

— Zaciekawia mnie pani...

— Odebrałam Bzów z wiadomym panu długiem. Przyjęłam nadto obowiązek utrzymania majątku — obowiązek moralny ze względu na ojca. Zadłużył się dla mnie; chciał mi dać świetne, magnackie wychowanie, chciał mnie otoczyć zbytkiem, nieobliczając się ze środkami. Czyż dziecko może mu to brać za złe? Powodowała nim miłość... Wychowany w tradycjach szlacheckich wrogo stawał przeciw postępowi i w tem rozwiązanie zagadki dlaczego w żadne układy z panem wchodzić nie chciał. Ja odebrawszy ciężary muszę myśleć o ich zwaleniu i widzę że muszę innemi jak ojciec iść drogami. O ile on był konserwatystą, o tyle ja będę postępową...

— Przechodzi pani do naszego obozu... Powitamy panią z radością.

— Wątpię, gdyż mimo postępowości mam stały zamiar walki z panem, a postęp ma być bronią przeciw niemu.

— Przestrasza mnie pani... — zaśmiał się.

— Mówię serjo, zaraz się pan przekona. Nie trzeba było we mnie rozbudzać chęci do pracy.

— Nie żałowałbym tego nawet wówczas, gdyby ona mnie osobiście szkodę przynieść miała...

— Pan znalazłeś w Bzowie galman?

— Tak jest pani, i to pokłady bardzo obfite...

— Które tylko tę jedną mają wadę, że największa ich grubość, leży po za polem kopalnianem pana, po za znakiem Pellarówki...

— Zkąd to pani wie? — spytał ze zdziwieniem Bodmer?

— Odkryłam przypadkowo i zaraz z odkrycia skorzystałam. Nie tracąc czasu wyrobiłam sobie u rządu nadania górnicze na reszcie moich gruntów i obecnie mam wyłączne prawo poszukiwań. Według obrachowania geometry jestem właścicielką czterech pól kopalnianych i niemi otoczę z wszystkich stron jedno pole pana. Będiesz pan na Pellarówce zamknięty i ograniczony...

Twarz Bodmera zasępiła się widocznie.

— Kto pani tę myśl poddał?

— Sama ją powzięłam. Trzeba tylko umieć obserwować doświadczeńszych a nabywa się dużo wiedzy i sprytu...

— Istotnie... sprytnie bardzo postąpiła pani... Ale cóż dalej? Co z tego wypływa?

— Z tego wypływa, że pan nie będzie w stanie rozszerzyć swej kopalni jak należy; że na nadanej sobie przestrzeni nie będziesz pan mógł postawić należytych płuczek i tłuczek do rudy, nie mówiąc już o postawieniu huty... Z tego wypływa, że ja mając

pole z obfiszczymi pokładami, mogę panu robić konkurencję ze przewaga moja wyjdzie na niekorzyść pańskiej małej Pellarówki...

— A co pani zamierza?

— Zamierzam w każdym razie korzystać z tego, co mi daje ziemia. Dziś Bzów — dzięki poszukiwaniom pana — jest wart bardzo wiele. Za każde pole górnicze zapłaconoby mi — jak zapewniają znawcy — 50.000 rubli.

— Ja sam ofiaruję pani tę kwotę za pole przypierające do mojego.

— Wierzę bardzo, ale nie mam na sprzedaż.

— Zamierza pani sama otworzyć kopalnię?

— Rzecz prosta.

— Brak pani obrotowego kapitału....

— Ten się znajdzie. Bzów czysty; mogę zaciągnąć pożyczkę...

Bodmer siedział zamyślony, Marja uśmiechała się.

— Cóż pan na to wszystko? — spytała po chwili.

— Widzę, że jesteś pani bardzo energiczna i pomysłowa. Przyznać muszę, że wobec zamiarów pani, nie pozostanie mi nic innego jak zrezygnować z moich górno-lotnych planów stworzenia w Bzowie kopalni i hut na wielką skalę a natomiast eksploatować galman tylko w małych rozmiarach i sprzedawać go pani jako najbliższej sąsiadce.

— Czy nie żal panu porzucać swej myśli?...

— Kłamałbym zapierając się, ale z drugiej strony cieszy mnie, że ktoś inny podejmuje te myśli, a podejmuje w przekonaniu, że pracą swoją będzie służył krajowi...

— Zkąd pan wie że ja tak myślę?

— Nie byłabyś pani córką Bzowskich. Szlachta kocha swoją ziemię, mimo że jej bronić nie umie. Pani idąc w nasze ślady, naprawia błąd ojców i dlatego mimo doznanego zawodu, z całego serca życzę szczęścia. Wierz mi pani, że nie chęć mną powodowała, gdym zamyślał stworzyć tutaj wielki zakład przemysłowy i dlatego widząc że dziś znalazł się ktoś, co moją myśl w czyn zamieni — chętnie ustępuję.

— Nie sądzisz pan, że puszczam się na zbyt ryzykowne przedsiębiorstwo?

— Nie, pani. Na pokładach tutejszych zawieźć się trudno. One dopiszą pewnie. Chodziłoby tylko o umiejętne poprowadzenie interesu, a że bystrość umysłu pani nie ulega dla mnie wątpliwości, przeto spodziewam się, że interes pójdzie szczęśliwie. Należy przedewszystkiem obejrzeć się za fachowym kierownikiem. Od głowy technicznej zależy powodzenie. Potrzebuje pani człowieka rzutnego, przemysłowego, zbiegłego, doświadczonego fachowo, a nadewszystko sumiennego. Nie mając wiedzy zawodowej, musisz pani polegać zupełnie na zdaniu takiego człowieka. Jeśli więc będzie niesumienny, to przy największych zdolnościach technicznych, doprowadzić panią może do upadku, lub narazić na niepowetowane straty...

— Wiem o tem. Myślałam o tej rzeczy długo i na szczęście znalazłam już kierownika dla przedsiębiorstwa....

— O! tak prędko? Uwierzyć mi trudno.... Czy wolno wiedzieć kto to taki?

— Pan Henryk Bodmer — powiedziała z uśmiechem Marja.

— Ja pani? — spytał zdziwiony.

— Tak jest. Tylko sąsiad jesteś w stanie za-
dośćuczynić wymaganiom; jakie sam zostawiłeś dla kierownika,

— Pani byś miała do mnie tyle zaufania? Pani zna mnie tak krótko.

— Za to dobrze.... Kto ośmielił się przemówić do mnie tak jak pan w ów pamiętny dzień, ten zasługuje na to, by mu ufać i wierzyć.

— Pani,...

— Jestem pojętną uczennicą.... Zapamiętałam coś pan tedy o przymiotach Niemców mówił i utkwilo mi, że jednym z nich jest zmysł asocjacji. Chcę praktycznie przekonać się o jego wartości i dlatego zrobię panu propozycję.

— Słucham z zajęciem.

— Zamiast iść jedno obok drugiego — idźmy razem. Ja dam ziemię i ukryte w niej bogactwa; dam materiał drewniany z moich lasów i gdy potrzeba będzie także pewien kapitał; pan dasz swoją pracę, wiedzę i kapitał. Uregulujemy wkłady do połowy i zamiast dwóch zakładów stworzymy jeden większy pod firmą „Bodmer i Bzowska“. W razie takim doprowadzenie kolei z Leśnej do Ząbkowiec, będzie leżało we wspólnym interesie Leśnej i Bzowa, a to, na co pan mogłeś lata całe daremnie czekać, spełnić się może w najbliższym czasie.

Im dłużej mówiła Marja, tem uważniej słuchał Bodmer, tem twarz jego stawała się ruchliwszą, oko nabierało gorąca, a gdy skończyła, powstał żywo z krzesła.

— Wprawiasz mnie pani w podziwienie.... Nie byłem przygotowany znaleźć tyle życzliwości i sprawy sobie zdać nie umiem z wrażeń jakich doznaję. Pani byś na prawdę miała zamiar iść ze mną razem?

— Jeśli pan na to przystanie...

— Takiej życzliwości nigdy się nie odrzuca — i oto moja ręka.

Uścisk połączył ich dłonie. Trwał trochę za długo, jak na zwykle podanie ręki przy zawarciu ugody o najprozaicniejszą rzecz w świecie.... Ale co dziwnego? Ręka kobieca była tak mała i miękka, męzka tak silna i twarda, że pierwszej z trudnością przyszło się uwolnić z więzienia.... Leżało w tym uścisku więcej jak prosty kupiecki interes; pięknej kobiecie podawał dłoń dorodny mężczyzna, a to nie uchodzi bezkarnie. (C. d. n.)

Złoty zegarek.

NOWELLA

(Dokończenie.)

W nocy, oka z początku zmrużyć nie mógł. Co chwila wstawał i sprawdzał, czy są pieniądze na miejscu. Utrudzenie jednak przemogło — zasnął, ale nie na długo — zbudził go do dnia epilogu snu, w którym skarb znaleziony główną naturalnie odegrał rolę! Blizkie urzeczywistnienie marzeń nie dało mu zasnąć powtórnie, z upragnieniem oczekiwał jutrzeńki. Wreszcie nastał dzień, co miał być, według przewidywań bohatera naszego, jego najszczęśliwszym dniem w życiu! Wszakże, gdy wyszedł na ulicę, zmierzając do zegarmistrza, poczuł że drży, niepewno stąpa — ale nie ze wzruszenia.... Strach go ogarnął, twarz jego była oblana rumieńcem wstydu, lękał się patrzeć przechodniom w oczy: a nuż ktokolwiek z nich odgadnie tajemnicę, wyczyta ją z twarzy i powie: „Oddaj zgubę! Pieniądze nie twoje! Jesteś złodziej....“ bał się dokończyć.... i znowu, jak mara, myśl mu się nasunęła; „ogłoś o znalezieniu pieniędzy!“

Więc wyrzec się szczęścia, gdy się już doszło prawie do celu marzeń całorocznych?

— O nie! — rzekł namiętnie — za nic! „Ja“ znalazłem, więc to do mnie należy! Los zesłał! Tak być.... musiało.

Oczy błysnęły ponuro.... o! nikomu nie odda pieniędzy, nie zagrozi sam sobie drogi do szczęścia! Już przyszedł czas, by się spełniły słowa ojca, już on wyrósł, musi więc posiadać zegarek złoty! A jak się wszyscy zadziwią?!

— Pójde — rzekł do siebie — tam, gdzie mię wysmiano, że nie mając pieniędzy, odważyłem się spytać o cenę zegarka.... Teraz już się śmiać nie będą, uklonią się nisko! Chciałbym spotkać tego pana, co mię za ucho pokręcił i posłańca, co pałką mi pogroził.... Odzyskał odwagę, wyprostował się....

O! patrzcie, jak teraz idzie po ulicy bohater nasz! Już to nie biedny, niedoświadczony dzieciak, ale dumny przyszedł właściciel zegarka złotego.... nie dzwoni zębami od chłodu, na biednych nieomal z pogardą spogląda, już zalicza siebie do pocztu bogatych, tych szczęśliwych śmiertelników, co to mają....

W hardej postawie wchodzi chłopak do magazynu i mówi zwolna głosem doniosłym.

— Dzień dobry! Pamiętacie może panowie, wstępowałem tu w grudniu zaprzeszłego roku.... Panowie się wtedy śmieli.... dziś kupuję ten oto zegarek złoty.... Jaka cena?

— Trzydzieści pięć rubli! — brzmiała odpowiedź.

Prawdę powiedział chłopak, już się nikt teraz nie śmiał z niego głośno, ubliżająco, chociaż podczas przemowy nie jeden zlekka się uśmiechnął.

Bohater nasz wyjął pieniądze i na stół je położył.

Zegarmistrz bacznie w chłopaka się wpatrzył i zmarszczył brwi:

— Zkąd masz tyle pieniędzy chłopcze? co to jest? fałszywe pieniądze?

— Fałszywe pieniądze?!... — z wolna i truchlejąc powtórzył chłopak, czuł, że odwaga całkiem go opuszcza, zbladł...

Zegarek złoty leżał na stole, mamił go, a zarazem urągał mu:

Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!

W umyśle strwożonego chłopaka błysnęła myśl, że wszystko stracone, że padnie nań podejrzenie, jeżeli nie o podrabianie, to o rozpowszechnianiu fałszywych pieniędzy.... widząc to pomieszanie, zegarmistrz powtórnie spytał już groźnie;

— Powiedz! zkąd wzięłeś tyle pieniędzy? — i zrobił krok ku bohaterowi naszemu, ale chłopak, wiedziony instynktem samozachowawczym, cofnął się w tył, szybko drzwi otworzył i jak strzała popędził po ulicy, zmierzając ku mostowi praskiemu i dalej, dalej za miasto....

Zegarmistrz sądził, że ochłonawszy chłopak powróci, gdy się jednak dnia tego nie zgłosił, złożył dziesięć rubli w pocie czoła zapracowanych przez naszego bohatera na „instytut moralnie zaniedbanych dzieci“, a dwadzieścia pięć rubli odesłał do cyrkułu. To niezmiernie ucieszyło policjanta, który się lękał odpowiedzialności za zgubienie pieniędzy, jakie mu powierzono dla wręczenia zwierchnikowi.... Na papierze był nadpis w języku urzędowym: „Fałszywa asygnata“...

Tymczasem biedak nasz bez pamięci leciał przed siebie.... za miasto i wtedy dopiero lżej odetchnął, gdy się już znalazł wśród pól; usiadł na murawie, zakrył twarz rękoma i zapłakał, tulił twarz gorąco do łona ziemi i lzy się lały strumieniami, padały na trawę.

Było to na wiosnę. ledwo się rozpuszczały liście na drzewach, bojaźliwie spoglądając na słonko, czy bardzo ich ono ogrzeje? z trwogą wynurzając główki ciekawe w obawie wiatru chłodnego.... Oj ten wiatr wiosenny, zdradliwy! przeciska się przez odzienie, przejmuje do szpiku kości! zimnem tchnieniem niweczy pracę ożywczą słońca....

Rozegrzany ucieczką, zrazu oblany potem, splakany, chłopak, gdy się uspokoił, poczuł dreszcze i jednocześnie ból gardła — zdawało się mu, że obręcze żelazne szyję jego ściskają! Napił się wody z pobliskiego źródła, lecz to nie ulżyło, owszem — pogorszyło stan chorobliwy — chłopak ochrypl....

— Trzeba uciekać! mówił do siebie. Wybrał pierwszą lepszą drogę i szedł na los szczęścia, naprzód naprzód! Sądząc, że błądzi, bo droga była kręta, zmieniał kierunek i dalej zmierzał pospiesznie, byle się oddalić od Warszawy! Ból gardła się zwiększał ale on na to nie zważał, nad cierpieniami fizycznymi moralne górowały.... Ach! zegarek złoty!.... Rój myśli;

które napróżno skupić usiłował, w dziwacznej formie wirował w jego głowie, czasami zdawało mu się, że to nie rzeczywistość, lecz sen.... Aby się przekonać, że nie spi, mówił do siebie — słowa brzmiały, ale, co się z nim dzieje, dokładnie pojąć nie mógł....

Nadszedł wieczór. Naprzemian strach chłopaka ogarniał, naprzemian wpadał w otępienie. Wreszcie położył się na ziemi i zdrzemnął.... chwilę, jak mu się zdawało.... We śnie rzucał się, krzychał, chwycił za szyję.... Sny go trapiły — budził się co chwila, i znowu sen kleił mu powieki. Drżał od zimna, a jednocześnie paliła go gorączka.... Tak przeszła noc, noc straszna!

Nadedniem zbudził go turkot. Na naładowanym wozie jechał wieśniak. Chłopak otrząsnął się z apatii poprosił o użyczenie mu nieco miejsca na wozie. Nie pytał nawet dokąd jechał właściciel.... Po chwili znalazł obok swego dobroczyńcy....

Gdy przetarł oczy, mocno się zdziwił. widząc dokoła ze mgły porannej wynurzające się wielkie domy, dachy i świątyń szczyty, złoćciło słońce wstające.

— Co to jest?! — spytał.

-- A no! — odrzekł wieśniak — Warsiawa.

— Warszawa?! — powtórzył bohater nasz przeżony, uczuł nienawiść do miasta, co go nie wypuszczało ze swych objęć; napróżno uciekał, przyciągał go gród syreni....

Zeskoczył z wozu, szepnąwszy zaledwie na podziękowanie, obojętne „Bóg zapłać!“ Ach! bo głowę jego niedoła przytłaczała, a ciało ugięło się pod brzemieniem cierpień fizycznych! Teraz na nic już nie zważał:

— Niech mają mnie za złodzieja, wszystko mi jedno!

Postanowienie stanowcze wryło się na jego twarzy.... Szybko, jakby nie dając sobie czasu do namysłu, zmierzał, do cukierni do domu. Sporo wszakże upłynęło czasu, nim się odważył drzwi cukierni uchylić.... Gdy wszedł —

— To on! To on! — ozwały się głosy...

Jakiś pan już w wieku rzucił się ku niemu:

— Dziecie moje biedne! Jestem stryjem twoim! Może nigdy o mnie nie słyszałeś.... Miano mnie za umarłego.... Powracam zdaleka — ze.... wschodu! Długo cie nadaremnie szukałem.... Dziecie co ci jest? tyś chore!

Oj, ten wiatr wiosenny, zdradziecki—szkodliwy!

Wezwano lekarza — opatrzył chorego i pokiwiał głową...r

-- Zapóźno!.... — rzekł stryjowi, wyprowadziwszy go do drugiego pokoju.

— „Blonica złośliwa“, czyli jak my po łacinie nazywamy....

— I żadnego nie ma ratunku?! — przerwał mu stryj z rozpaczą.

— Nic nie pomoże.... zapóźno!

Stryj jak bóbr rozplakał się. Szczęście odnalezienia bratanka odmłodziło go, już się nie czuł osamotnionym, miał komu zostawić wszystko, co pomimo niedoli, krwawą pracą zebrał w odludnych krainach... a nagle choroba miała mu zabrać podporę starości, pociechę jedyną!

— Boże mój! o cud błagam!

— Nic nie pomoże! zapóźno! — powtórzył kapłan Eskulapa — w tak młodym wieku choroba ta często jest śmiertelną. Żeby mnie wcześniej wezwano, możebym jeszcze ocalił dziecię.... Szkoda! Bo jest to „błonica złośliwa“, czyli, jak my po łacinie nazywamy...

— Panie doktorze! — przerwał mu stryj powtórnie, łkając — połowę mego majątku oddam za życie tego dziecka....

— Wszystko napróżno!

Wtem chory domyślił się, na co się zanosi, lub też usłyszał rozmowę:

— Stryju! — szepnął (ledwo było można dosłyszeć co mówił). — Stryju! źle.... ze mną!.... lecz Bogu dzięki.... nie jestem.... całkiem wśród obcych.... Pokaż mi.... zegarek!.... która godzina?!

Biedak pozostał wierny żądzy, co go trawiła tak długo, co go wiodła wreszcie do grobu....

— O! wyzdrowiejesz! — rzekł stryj gorąco, a dowiedziawszy się od chłopaków o pasji chłopca — jestem — rzekł — tak szczęśliwy, że cię widzę! na pamiątkę dnia dzisiejszego daruję ci ten zegarek złoty....

Tantalu, bohaterze mój! Śmieli się z ciebie w cukierni chłopcy, przewali cię „złotym zegarkiem“, i mówili — drażnili cię, że nigdy nie będziesz miał zegarka złotego! Omylili się — już marzenie się ziściło! Osiągnięty cel....

Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!

Pare godzin upłynęło. Stryj płakał. Doktor, wypróbowałszy wszystkich środków, jak się to czyni często wtenczas, gdy już żadnej nadziei nie pozostaje, też miał zwilżone powieki, chodził po pokoju i powtarzał z cicha, sam nie wiedząc dla czego i do kogo mówiąc:

— „Błonica złośliwa“, czyli jak my po łacinie nazywamy....

Tymczasem bohater nasz trzymał zegarek złoty w rękę i ciężko oddychał. W jego wyobraźni przesuwały się obrazy z przeszłości niedawnej.... Zapóźno doszedł do celu swych marzeń, na nie się już nie zdał zegarek złoty, chyba tylko dla oznaczenia ile sekund pozostaje do kresu jego życia....

Lecz gdy ten nadszedł, nie wstrzymał się w swym monotonnym biegu zegarek złoty....

Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!

„Złoty zegarek“ już nie żył!

Stryj starszek płakał, a doktor zadumany mruknął:

— „Błonica złośliwa“, czyli, jak my po łacinie nazywamy.... dyphteritis maligna....

Tik-tak! Tik-tak! Tik-tak!

KONIEC.

Martwa natura.

USTĘP Z DZIEJÓW ARTYSTY.

PRZEKŁAD I NIE PRZEKŁAD PRZEZ J. Z.

Wiele już lat upłynęło od czasu, w którym ja, dwudziestotrzyletni młodzieniec, byłem uczniem królewskiej akademii malarstwa.

Gnany nieprzepartem powołaniem, oddawałem się z całym zapalem sztuce już od najwcześniejszych dni mojego życia, co źle wpłynęło na me zdrowie, nader wątłe z natury. Blade moje policzki zapadały coraz więcej, a ręce stawały się tak białe, jak ręce tancerki na scenie.

Lekarz, przerażony objawami piersiowej choroby, kazał mi przepędzić parę lat we Włoszech. Przepis to nie przykry bynajmniej; ale ponieważ nie miałem środków na wypełnienie go, czułem się skazany na powolne konanie i na śmierć wreszcie śród mgły Albionu.

Miałem wprowadzić licznych przyjaciół, ale od żadnego z nich nie mogłem się spodziewać pomocy w tym względzie. Szczęściem Opatrzność zaopatrzyła mnie w wuja, zamieszkałego oddawna w Hiszpanji. Do niego to udałem się w tym moim kłopotcie. Życzę wszystkim siostrzeńcom takiego powodzenia w stosunkach z wujami jakiego ja doznałem.

Otóż ten wzór, ten ideał wujaszków przesłał mi wcale pokątną sumkę przez swego bankiera londyńskiego. Co zaś do przepisu lekarza, pozwolił go sobie zmienić nieco. Utrzymał, że nie ma na świecie lepszego klimatu jak w Hiszpanji. Pisał, że jeśli będę potrzebował troskliwości i opieki, to znajdę ją w jego domu, w osobie ciotki mej i kuzynek. Pocciwy ten człowiek zapewniał mnie, że to wszystko, czego artyści szukają w tylu przeróżnych krajach, znajduje się razem zebrane w tej błogosławionej ziemi i zapypywał wreszcie, gdzie mógłbym podziwiać i studiować takich mistrzów jak Ponz, Polomino, Morales, Murillo, Zurbaran? Do imion tych zapaliła mi się głowa. Przyjąłem całym sercem propozycję wuja, a w kilka dni potem przebywałem zatokę Biskajską, udając się do Sewilli.

Niebo andaluzyjskie, troskliwość moich dobrych i miłych kuzynek, zdrowe i stosowne pożywienie — wszystko to przywróciło mi siły. Co za rozkoszne życie wiodłem tam przez dwa lata!

Wolny od wszelkiej troski, otoczony mnóstwem arcydzieł, czułem się upojony taką radością, jaka upaja tych, co są szczęśliwi. Klasztory, kościoły i galerje pełne były arcydzieł najslawniejszych mistrzów, a szczególnie Murilla, który, według mnie, jest największym ze wszystkich. Wpatrywałem się w jego dzieła, usiłowałem się niejako przejąć jego duchem i tym to sposobem nabyłem to, co moi znajomi zowią „moim stylem hiszpańskim“

Powróciwszy do Anglii, musiałem rozpocząć na nowo ciężką walkę, znaną tym wszystkim co pną się na wyżyny sztuki. Upadałem nieraz przygnębiony trudnościami. Ale nie będę się żalił... wszak to los wspólny tym, którzy sobie cel jakiś założą i dopną go, dzięki wytrwałości, odwadze i nadziei, — tym trzem cnotom koniecznym dla ludzi cheiwych sławy.

Miałem pracownię na Newman-street. Zajmowałem już ją dwa lata, a nie dostałem przez ten czas ani jednego obstalunku, wyjąwszy kilku zamówień od spekulantów, którzy jak wiadomo, okropnie wyzyskują artystów.

Finansowe moje położenie zatem dość było smutne, a do tego dawna choroba dręczyła mnie od kilku tygodni... W tym właśnie czasie spotkało mnie zdarzenie, które wydałoby się mniej dziwnem w kraju, gdzie tak szczęśliwe dni przepędziłem.

Ponieważ dla zrozumienia wszystkiego niezbędnem jest przytoczenie dat, muszę więc objaśnić, że wydarzenie, które chcę opowiedzieć, zaszło w marcu 1823 w południowej porze.

Przestałem pracować wcześniej niż zazwyczaj z powodu mgły zasępiającej widnokrąg. Ponieważ godzina wieczery nie była jeszcze wybiła, skracalem sobie czas paleniem cygara...

Ciemności zalegały świat boży i moją pracownię; siedziałem przed kominkiem, tak wpatrzony w fantastyczne kształty płomieni, że nie słyszałem ani pukania do drzwi, ani odgłosu kroków jakiegoś indywiduum, które przerwało samotność moją i ciszę.

Nagle dziwny jakiś głos wyrwał mnie z zamyślenia. Powstawszy natychmiast, ujrzałem kobietę wysokiego wzrostu, zakwefioną, w czarnem ubraniu, stojącą nieruchomie przy krześle, z którego tylko co wstałem.

— Wielki Boże! — zawołałem — kto pani jesteś i którądyś weszła?

— Zapukałam — odparła nieznajoma szorstkim głosem i z wyraźnym niemieckim akcentem — przebac mi pan, że niemogąc się doczekać odpowiedzi, pozwołam sobie wejść tutaj.

— Czyś pani modelka? — zapytałem, usiłując opanować silne wzruszenie.

— Modelka? O! nie, panie, bynajmniej — odparła dama, którą pytanie to zdawało się urażać. — Jestem osobą bogatą i przychodzę zamówić u pana obraz...

— Ach, przepraszam panią, Byłem tak zdziwiony i przestraszony...

— Ale teraz już pan ochłonął, więc możemy zacząć układy, jeśli pan sobie życzysz.

— I owszem, pani, tylko zapalę świecę.

— To niepotrzebne; możemy rozmawiać bez światła. Wolę tak nawet z powodu moich oczu.

— Jak pani rozkaże — odparłem, podając jej krzesło.

Począłem się przypatrywać tej osobliwszej postaci. Welon jej był tak gęsty, że nie mogłem dopatrzeć jej rysów; schwyciłem tylko przelotny błysk w jej zrenicach migocący przez oczka koronki, oraz kosmyk włosów czarnych, wijący się na ramieniu. To wszystko. Szeroki płaszcz okrywał ją od stóp do głów, a na rękę miała czarne rękawiczki.

— To dziwne! — mówiłem sam do siebie. — Kobieta z takim głosem? Ale to widocznie niemka, a zatem nie powinienem się dziwić...

— Potrzebujemy pana — ozwała się znowu (wciąż już potem mówiła w liczbie mnogiej, dość dla mnie zagadkowej). Potrzebujemy pana... Chcemy aby pan wymalował nam obraz z natury, w połowie naturalnej wielkości. Ale przedewszystkiem musimy się ułożyć o cenę...

— I owszem pani, słucham.

— Oto widzisz pan... przyjedziesz pan do nas, na wieś, gdzie wykonasz tę pracę jak można najspieszniej, gdyż niezmiernie nam zależy na pośpiechu; a my damy panu za to dwieście gwinei.

Propozycja ta wydała mi się tak świetną, że przez chwilę niezdolny byłem wymówić ani słowa.

— I płacimy panu z góry — dodała kładąc na stół woreczek napełniony sztukami złota, na których dźwięk aż zadrżałem. — Nadto, jeśli będziemy zadowoleni z pańskiej pracy, dostaniesz jeszcze sto gwinei po ukończeniu obrazu.

— Pani bardzo hojna — szepnąłem, pytając się sam siebie, czy to nie sen przypadkiem.

— A teraz, oto nasze warunki. Musisz pan nam dać słowo honoru, że w czasie bytności swej w naszym domu nie przemówisz ani razu do nikogo... do nikogo... rozumiesz pan?... z wyjątkiem do mnie. Pan się nikogo o nic nie zapytasz. Czy pan rozumiesz teraz?

— Wybornie.

— Pan będziesz więźniem w naszym mieszkaniu i nikt o panu nie będzie wiedzieć.

— Czy to długo potrwa?

— Dopóki obraz nie zostanie ukończony.

— I owszem. Postaram się pospieszyć.

— „Ja wohl“. Ale to jeszcze nie wszystko. Gdy pan obraz skończysz, musisz o nim zapomnieć. Gdybyś go pan kiedykolwiek zobaczył, nie powiesz pan, że to twoje dzieło. Mamy tajemnicę, której pan badać

nie powinien. Jest to umowa, na której dotrzymanie pan mi musisz dać słowo.

— I przyrzec, że nie wspomnę o tem nikomu. Nieprawdaż?

— „Gut gesagt“. Wiec pan się na to zgadzasz?

— Daję pani słowo, że zastosuję się we wszystkim do jej woli.

— Kiedy tak, to pan się zaraz ze mną zabierz — rzekła nieznajoma, wstając z krzesła. Powóz mój czeka przed bramą.

— Ale... muszę się przygotować.

— To niepotrzebne. Pan tam będziesz miał wszystko, co masz tutaj: płótno, farby, pędzle i t. p. Zresztą zależy nam na pośpiechu, jak to już panu mówiłam. Pan zaczniesz jeszcze dziś wieczór.

— Kiedy tak, to pozwoli mi pani kilka chwil tylko na zebranie niezbędnych rzeczy.

— I owszem; ale śpiesz się pan. Im prędzej, tem lepiej.

Czytelnik się nie zdziwi, gdy mu wyznam, że był nader wzruszony.

Wydarzenie to pociągało mnie romantyczną swoją cechą, a z drugiej strony... czy mam się przyznać?... Te dwieście gwinei, których zostałem posiadaczem, ja, tak ubogi, tak opuszczony przed chwilą, dokonały reszty.

Jak tylko zostałem sam w pokoju, wnet, pobudzony nieszlachetną ciekawością, jałem liczyć śliczne sztuki złota. Nigdy ich tyle nie posiadałem. Ale należało się spieszyć; to też usiłowałem zastosować się do tego.

Wrzuciwszy do kufereka kilka sztuk ubrania i uprzedziwszy moją gospodynię, że wyjeżdżam na miesiąc najwyżej, zeszedłem wraz z nieznajomą na dół.

Mgła była tak gęsta, że nie mógł dojrzeć powozu, który stał o kilka kroków od domu. Towarzyszka moja, lepszym snać obdarzona wzrokiem, podeszła wprost do wehikułu i wsiadła doń szybko. Co do mnie, nie miałem się czasu namyślać; jakiś człowiek bowiem, który, zdawało się, że wyrósł nagle z ziemi, pochwycił mój lekki kufeczek i umieścił go na przednim siedzeniu, podczas, gdy dwaj inni popychali mnie, ująwszy za ramiona.

— Wsiadaj pan prędko — odezwał się pierwszy z tych trzech indywiduów.

Mówił on podobnie jak moja nieznajoma językiem łamanym z wyraźnym akcentem niemieckim; oblicze zaś jego, które dojrzałem przy blasku latarni, nosiło cechę rasy żydowskiej.

Nie było wątpliwości... znajdowałem się w ręku synów Izraela.

Powóz ruszył. Firanki były starannie zapuszczone dlatego naturalnie, abym nie widział w jakim kierunku jedziemy.

— Ale, ale — mruknęła moja towarzyszka, której mgła nie poprawiła bynajmniej głosu — czyś pan policzył pieniądze?

Błogosławiłem ciemności, które osłaniały rumieniec co mi na twarz wystąpił i odrzekłem tylko:

— O! pani... ja przecież pani ufam. Jestem pewien, że tam jest tyle, ile być powinno. Ale chciałbym wiedzieć, jaki będzie temat obrazu. Czy mam malować mężczyznę, czy kobietę?

— Kobietę i... część mężczyzny. Ale pan powinien był przeliczyć pieniądze, ja to zawsze czynię w podobnych razach.

— Ja nie rozumiem pani — rzekłem zdziwiony — powiedziałaś pani: część mężczyzny?

— Nie uważam za stosowne objaśniać to panu bliżej w tej chwili. Staniemy wkrótce na miejscu, to sam zobaczysz. Sądzę, że temat spodoba się panu. Czy będziesz mógł malować przy świetle lamp? Bo chciałabym, abyś pan zaczął natychmiast. Niema ani chwili do stracenia.

Zasunąłem się w głąb powozu i puściłem wodze myślom, które nie były zbyt wesołe.

Co to byli za ludzie? Dokądśmy jechali? a nadewszystko, co znaczyła ta „część człowieka?“

Kierunku, w którym powóz jechał, nie mogłem się domyślić w żaden sposób; posuwaliśmy się zwolna z powodu gęstej mgły, zalegającej ulice. To tylko czułem, żeśmy skręcali często, to na prawo, to na lewo.

Wkrótce powóz zaczął się szybciej poruszać; zdawało mi się, że konie biegną po pustym gościńcu. Po upływie godziny skręciliśmy na piaszczysty grunt, poczem po kilku chwilach powóz się zatrzymał.

Rozdrażnienie nerwowe, którego doznawałem w wysokim stopniu, zwiększyło się wskutek okoliczności, towarzyszących naszemu przybyciu.

Owinięto mi naprzód głowę dużym szalem.

W chwili, gdym wysiadał, uczułem jak mię schwytały dwie osoby, które mnie popchnęły naprzód i przeprowadziły przez kilka schodów, następnie się i kilka pokoi; poczem usadowiły mnie wciąż jeszcze owiniętego szalem na dużym i niezmiernie wygodnym fotelu.

Tak mi trudno było oddychać, a z drugiej strony tak byłem zdziwiony i przerażony, że prawie straciłem przytomność. Po chwili, ponieważ nie slyszalem już żadnego szmeru około siebie, a ręce miałem wolne, zdarłem szal z głowy...

Nasamprzód obejrzałem się na wszystkie strony. Znajdowałem się sam jeden w obszernej sali, wspniale oświetlonej. Kilka lamp opatrzonych silnymi reflektorami i ustawionych z artystycznym poczuciem taką jasność rozlewało dokoła, że nie mógł jednem spojrzeniem objąć cały pokój: była to przepyszna pracownia malarza, o jakiej nigdy nie marzyłem.

W dzień otwór w suficie oświecał całą salę. Nie było ani jednego okna w ścianach, pokrytych prześlicznym obiciem. Po lewej stronie wznosiła się estrada, zasłana tureckim dywanem, na której stał postument z zielonego starożytnego marmuru. Na nim spostrzegłem ogromną srebną czarę, której tylko gruby brzeg dostrzedz mogłem zdaleka. Poza tym postumentem, to jest pomiędzy nim a ścianą, rozpięta była szkarłatna materja. Tuż przy mnie stał stolik dębowy rzeźbiony, zastawiany przedmiotami służącymi do użytku artysty, pomiędzy którymi dostrzegłem moje pudełko z farbami, jakie zabrałem z sobą.

Po prawej stronie, u stóp estrady, znajdowały się sztalugi z gotowem już płótnem. Tu i owdzie wzdłuż ścian stały kozetki, tabureciki, konsolki, a wszystko to były takie caceczka, że niejeden mój kolega byłby dał nie wiem co za to, żeby to mieć na własność, a wówczas byłby umyślnie zaczął jakiś obraz, żeby to mózdz w nim odmalować jako akcesorja.

Fotel, na którym siedziałem, był wygodny nad wszelki wyraz. Jeszczem nie był całkiem ochłonął ze zdziwienia, które mnie ogarniało i nie byłem pewien, czy się zdołam utrzymać na nogach.

Jednakże nie mnie jakoś nie przejmowało strachem. Osoby, które potrzebowały mego talentu, miały jakąś tajemnicę i przedsiębrały wszelkie możliwe środki, aby nie wyszła na jaw... I cóż w tem dziwnego?

Odzyskawszy już w pełni zimną krew, wstałem w celu szczegółowego obejrzenia mieszkania.

Nie potrafię opisać mnóstwa przedmiotów, przepysznych i nader kosztownych, tkanin, wazonów, drogich kamieni itp. Wolałbym być żeby to wszystko do mnie należało, niż do obcych osób, których byłem gościem...

Szczególniejszą moją uwagę zwróciło płótno rozpięte na sztalugach. Zdziwiłem się niepomału, że ono pochodziło z Hiszpanji, jako i ramy stare dębowe, stoczone przez robaki. Zastanawiając się nad tą osobliwszą okolicznością, wszedłem na estradę...

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem w owej chwili. Ilekroć tylko przywiodę to sobie na pamięć, uczuwam toż samo wzruszenie i toż samo bicie serca. W srebrnej czarze, stojącej na postumencie, znajdowała się głowa ludzka, pływająca we krwi; głowa człowieka, mającego około trzydziestu lat, którego niezwykłą piękność podnosiła jeszcze bladość śmiertelna, oraz włosy i broda czarne jak skrzydło krucze. Co było nadzwyczaj dziwnem, to, że głowa ta była niezmiernie podobną do głowy owego żyda, mego towarzysza podróży, którego przed godziną widziałem. Pytałem się nawet sam siebie, czy to nie jego głowa!

Po chwili zdawało mi się, że on służył za model do głowy św. Jana Chrzciciela, zrobionej z wosku... i już mnie uspokoiło, gdy wtem wyraźna woń krwi i technienie śmierci przekonało mnie o rzeczywistości. Ulegając chwilowej rozpacy, wyciągnąłem dłoń drżącą i dotknąłem tego martwego czoła. O! Boże... Ależ to doprawdy była ludzka głowa!

Dotknięcie tej martwej części ciała czlowieczego wywołało mi przed oczy najokropniejsze widma. Widziałem przed sobą cały szereg najokropniejszych zbrodni, o których słyszałem. Ofiary przesuwaly się przedemną, krwawe, z przygasłemi oczyma, jak ta głowa... Potem... nie pamiętam co się stało, gdyż osłabienie jakieś fizyczne ogarnęło mnie i... i zemdlałem.

Nie wiem jak długo pozostawałem w tym stanie. Pierwsze wrażenie, jakiego doznałem, było spowodowane ostrą wonią jakiejś orzeźwiającej cieczy, która się dostawała do mego nosa, podczas gdy ktoś wlewał mi w gardło płyn spirytualny.

Otworzyłem oczy i ujrzałem tę panią, niemkę, wciąż zakwefioną, która mnie otaczała troskliwością.

Widok ten podziałał na mnie jak oblanie zimną wodą. Wytrzeźwiałem. Ale w tejsze samej chwili inny widok, daleko przyjemniejszy, porwał mnie znowu w krainę snów.

O dwa kroki odemnie, na estradzie, ujrzałem młodą kobietę, idealnie piękną, w niewypowiedzianie wdzięcznej pozie. Opierała się na jednej nodze, podczas gdy druga, wysunięta z tyłu, dotykała ziemi tylko jednym palcem; ręka jej zaś była wsparta na brzegu tej okropnej czary... Nadziemskie to zjawisko patrzyło na mnie ze słodyczą i smutkiem zarazem.

Ubiór tej postaci harmonizował z jej pięknnością. Tiunika purpurowa jedwabna, ozdobiona haftem złotym i spięta na ramieniu kosztowną spinką, odsłaniała najpiękniejszy biust, jaki tylko można widzieć. Tiunika ta, objęta w pasie bogatą przepaską, otwierała się nad samem kolanem i spadała we wdzięcznych fałdach, tworząc z tyłu powłóczysty ogon. Cała jej postać jaśniała od drogich kamieni; nie mogłem się na nią dość napatrzeć. Klejnoty przewijały się w jej włosach, opasywały jej ramiona i błyszczwały na sandałach, w których uwięzione były istne nóżki bogini. Ale i na cóż ją dłużej opisywać? Wysoka i wysmukła, a okrągła przytem, łączyła ona wdzięk młodej dziewczyny z czarem kobiety. Istota owa przewyższała urokiem wszystkie inne, którem dotychczas widział, lub o których mogłem marzyć. Ponad te wszystkie uroki uderzał mnie jej wyraz; oblicze jej, promieniejące pięknnością, tchnęło jednak jakimś nieopisanym smutkiem, na którego widok drżały najgłębsze struny mego serca.

